

— Czy i mój wpływ, drogi Williamie, nazwasz obcym?

— Wchodź ze, Jonatanie!... Siadaj!... Wytłomaczę ci się ostatecznie!... Jest to zupełnie widoczne, iż sądziłeś, że działasz dla mego dobra! Nie chciałeś, bym poślubił Łucyę Weill i przytaczałeś na to takie same powody, jak i Joe Duncan... Ja miałem wtedy tak ważne racje, by tobie być posłusznym, jak i by sprzeciwić się życzeniom Joe!... Teraz gdy po upływie dłuższego przeciągu czasu widzę wszystko jasno, spostrzegam, iż działałem wówczas pod przymusem! Wyobrażałem sobie, że nie kocham już Łucyi Weill. Wyobrażałem sobie, że kocham natomiast Ewelinę Barrabas! Wszystko to jednak działo się pod wpływem mego prawdziwego ojca, Jonatana Brentano, który stanął niespodzianie na drodze mego życia!... Jonatanie, mój ukochany, mój prawdziwy ojciec, byłeś złym moim duchem!

Nie chciałem poddać się jego wzruszeniu. Wróciłem z powrotem do kwestyi, od której oddalił się...

— Drugi wzgląd, dla którego oszczędzałeś Teddy?

— Jest nim nic innego, tylko wdzięczność! Teddy postępował jak najlepiej wobec sądu, by oczyścić Łucyę od oskarżenia o współudział w zabójstwie i tylko dzięki jemu, a nie mnie, Łucya zostanie uwolniona...

Gdyśmy wychodzili z cabu przed restauracją Martina, dokąd zaprosiłem Williama na obiad, dodał żywo:

— To biedaczysko kochał Łucyę... prawie tak, jak i ja!

...Musiałem się teraz hamować bardzo. Nie mogłem okazywać wobec Williama za wiele czułości dla Polidora, zbyt wiele interesowania się Eweliną, by nie wzbudzać w jego niepokojnym umyśle podejrzeń, które mi okazał, gdy rzekł:

— Bywają chwile, gdy myślę, czy ty rzeczywiście jesteś Brentano!...

Od chwili rozpoczęcia posiedzeń sądowych, William nie powracał już do tego nieszczęsnego zdania... Nie okazywał już najmniejszego śladu podobnych podejrzeń!... Stał się na nowo względem mnie, jeżeli nie synem pełnym miłości, to przynajmniej dzieckiem, odnoszącym się z uszanowaniem do Brentana, kochanka Nelly Burlington!... W miarę jak się zbliżała chwila wydania przewidywanego niestety, wyroku w sprawie Duncan, smutek, jaki mnie gnębił, przybierał nowe formy... Oswoiłem się z myślą utraty Polidora!... Było to dla mnie nieszczęście, którego nie mogłem uniknąć! Musiałem się poddać konieczności!... Polidor zostanie skazany na śmierć! Zostanie pozbawiony życia prądem elektrycznym. ...Była to jak niegójająca się rana w mem sercu!...

Pod koniec jednak rozpraw ogarnęła mnie nowa trwoga, inna zmora zaczęła tłoczyć mi piersi... Tak mnie przejął lęk o Ewelinę, iż rozpacz z powodu nieuniknionego losu Polidora zeszła jakby na drugi plan. Domyśliłem się zamiarów Williama względem Łucyi Weill! William dotknięty był tym samym szalem miłosnym dla tej dziewczyny, co i Polidor. I tylko jeden Joe, król papierowy, wiedział jakim będzie rezultat jego intrygi!... Joe nie mylił się!... Życiem swem zapłacił za tak okrutną zemstę!... Teraz jednak i ja już przeczuwałem, że ta zemsta na synu Nelly Burlington, swej cudzołóżnej żony, skończy się czymś monstrualnym!

...William zresztą nie krył się długo z swymi zamiarami... Pewnego dnia oznajmił mi w sposób jak najprostszy:

— Sam zapewne przypuszczasz, mój drogi ojciec, że ja już nie powrócę do Francji!... Dla żony swej wyznaczę szczerą pensję... Gotów jestem do wszelkich poświęceń pieniężnych, byle tylko otrzymać rozwód i poślubić Łucyę Weill!

Zapanowałem nad niepokojem i odparłem chłodno:

— A obowiązek Williamie?

— Właśnie czynię to z powodu obowiązku, którego nie dopełniłem względem Łucyi, mej pierwszej towarzyszkii życia!

— A dzieci twoje... Piotr i Zuzanna?

— Są to dzieci przede wszystkim Eweliny!... Będą miały zabezpieczoną piękną przyszłość! — odparł mi spokojnie.

Te zimne słowa padły na me serce jak ciężkie kamienie. Zdawało mi się, że słyszę jeszcze, jak Polidor mówi o Łuci i Weill!... Ach! co za czarowny wpływ wywiera ta nędznica na mężczyzn!... Jakim postępem uda mi się obronić prawa dzieci mej córki Eweliny?... Jakiego sposobu użyć, by odłączyć Williama od Łucyi Weill?... Z goryczą myślałem o tej odległej tragicomedyi, jaką odegraliśmy w pałacyku w Neuilly! Takiego jednak inscenizatora, jakim był król papierowy, już nie było i nie miałem nikogo, koby mi mógł pomóc swą radą!

...William zdawał się nie odczuwać mych myśli, gdy mówił mi naiwnie:

— Między tobą mój prawdziwy ojciec i Łucyą, mą prawdziwą żoną będę najszczęśliwszym z ludzi!

William doszedł więc do tego samego punktu szaleństwa, co Polidor i w ten sam sposób pojmował swe szczęście, co i mój nieszczęsny syn.

I oto w jakich niezwykłych warunkach zostało sparaliżowane stanowcze postanowienie lekarza alje-



Oddasz mi tę sprawiedliwość, że w zeznaniach swych zachowałem niezwykłą dyskrecję...

nisty, by poślubić Łucyę Weill po jej uwolnieniu i w jaki sposób, gdy uważałem się już za bezbronego względem Williama, Łucya Weill przyszła mi osobiście z pomocą i znalazła wyjście z tego trudnego położenia.

...Mimo dzielnej obrony Tecka, który zastępował właściwego adwokata Polidora, sędziowie przysięgli, będący odbiciem opinii publicznej, wydali wyrok śmierci, jaki zresztą łatwo było przewidzieć.

Byłem na każdym posiedzeniu sądu i z uwagą słuchałem rozpraw, brakło mi jednak odwagi przyjąć i na ostatnie i słuchać, jak prokurator żąda głowy mego syna! Postanowiłem pozostać u siebie i odmówiłem swego towarzystwa Williamowi, którego gorączkowa niecierpliwość ujrzenia Łucyi Weill wolną, w jaskrawem była przeciwieństwie do mego ponurego zdania się na los!... William za nic na świecie nie chciał opuścić tego najgłośniejszego posiedzenia...

Umówiłem się z panem Teckem, iż zawiadomi mnie telefonem o wyroku... Koło piątej godziny wieczorem odezwał się dzwonek w aparacie... Adwokat Polidora oznajmił mi, iż przysięgli po bezlitościwej replice prokuratora udali się na naradę... Od piątej godziny zaczęły się me najsrodsze męczarnie, gdy

bez sił, bez myśli, bez przytomności siedział w swym fotelu i wodził błędnie oczami po biurku!... Przez czterdzieści pięć minut pozostawałem jakby pozbawiony mózgu i woli, przeżywając najgorsze chwile swego życia. Johnowi Fellowowi, który został mym sekretarzem, zabroniłem najsurowiej, by pod żadnym pozorem nie wchodził do mego gabinetu!... Te czterdzieści pięć minut, których potrzebowali przysięgli, by uznać Teddy winnym morderstwa bez żadnych okoliczności łagodzących, wydały mi się całą wiecznością! Wreszcie o trzy kwadranse na szóstą odezwał się znów dzwonek w telefonie... Schwyciłem słuchawki... Usłyszałem suchy głos adwokata:

— Było to nie uniknione, master Brentano!... Teddy na śmierć... Łucya uwolniona!...

I chociaż od dłuższego już czasu byłem przygotowany na taki epilog sprawy Joego Duncan, nie mogłem powstrzymać jęku, jaki dobył mi się z piersi. Zakreśliło mi się w głowie, powieki zapadły na oczy, puściłem bezwiednie słuchawkę i padłem bez czucia na biurko.

...Jak długo trwało moje omdlenie, nie jestem w stanie tego określić, mogę tylko powiedzieć to, w jakich okolicznościach wyrwał mnie z niego John Fellow.

Mimo stanowczego zakazu, jaki mu wydałem, wpadł on z hałasem do mego gabinetu!... Wtargnięcie jego do pokoju było tak gwałtowne, iż od razu ocuciło mnie z omdlenia. Wstałem z fotelu z miną człowieka, który uwolnił się dopiero co od strasznej zmy. Zaledwie jednak wstałem, opadłem nań z powrotem! Za Fellowem wpadli zadyszani, w porwanych ubraniach, z błędnymi oczami, z twarzami zwierzęco wykrzywionymi, szarpiąc się wzajemnie, William Duncan, negr Dzim i Łucya Weill. Scena ta była tak hałaśliwa, tak niespodziana i pełna jakichś pogroźek, iż schwyciłem instynktownie za rewolwer i bezwiednym ruchem samoobrony wymierzyłem go w stronę przybyłych. John Fellow wstrzymał mnie za rękę, wołając:

Tecka zimnej krwi!

Rozejrzałem się w...

William Duncan z twarzą nabrzmiałą, z oczami pobitymi, z rozciętą górną wargą, rozbitym nosem, oderwanym uchem i z całą twarzą pokrytą od czoła do podbródka krwią, drżał z bezsilnej złości!... Łucya Weill blado-zielona ze strachu, z potarganymi włosami, trzymając w ręku swój wielki, niebieski, filcowy kapelusz z czerwonym ptakiem, gestykulowała jak pajak, nie mogąc wymówić ani jednego słowa.

Jeden tylko Dzim ze swymi białymi gałkami ocznymi, które mu wychodziły z orbit, z swym wielkim, czarnym, zakrwawionym kulakiem, wyciągniętym w mą stronę, miał tyle przytomności umysłu, iż do swych energicznych ruchów dodawał i słowa... krzyczał jednak raczej, niż mówił:

— Panie Jonatan! — wołał gniewnym i strasznym głosem... żądam od paie sprawiedliwości! Panie tylko jest moim jedynym panem... i Łucya i ja prosimy o opiekę!

Było to coś niezwykłego, gdy Dzim, który uderzeniami swego potężnego kulaka ubezwładniał Williama, prosi mnie o pomoc przeciw lekarzowi!... niście, niemogącemu się ruszać...

Łucya zdołała wreszcie zaczerpnąć oddechu pierając żądanie negra, wołała:

— A zresztą, koniec już! Dosyć mam te, dziny Duncanów. Chcę być wolną, swą własną panią! Wolę zrzec się natychmiast całego majątku, który mi dał tylko trzy tygodnie więzienia i miejsce na ławie oskarżonych, byłem tylko odzyskała swą wolność!

(Ciąg dalszy nastąpi).